

JEDEN

Woda poczerwieniała od krwi. Cade z całej siły pociągnął za linkę i ze wstrętem patrzył na rojącą się pod powierzchnią masę. Zdobył, płaska ryba o srebrnym brzuchu, kiedy wreszcie ją wyciągnął, była już do połowy zjedzona. Opadła na brzeg rzeki martwa, szklanooka. Tak działo się podczas każdego połowu. Hordy małych rybek rzucały się na rybę, która przejawiała jakąkolwiek oznakę słabości, szarpiąc się w rozpaczliwej próbie oswobodzenia z haczyka. Już dwukrotnie wydobył niewiele więcej niż szkielety, chociaż i zwisające z nich strzępy były nie do pogardzenia.

Trzecia ryba, co prawda napoczęta, stanowiła cenny łup dla wygłodniałego chłopaka. Zresztą nie było czasu na następną próbę. Stojący obok Qiuntus bez słowa wskazał niebo, ostrzegając w ten sposób, że wkrótce zajdzie słońce. Pospiesznie schowali poszarpaną zdobycz do wiklinowego koszyka, po czym skryli się w zaroślach, pilnując, żeby trzymać się cienia.

Przekleństwem było to, że ryby zaczynały brać dopiero o zmierzchu, kiedy ożywiały się też insekty. Owady uwijały

się nad głowami, ale Cade ich nie zabijał. Zdążył już się nauczyć, jak po brzęczeniu rozpoznać te, które tylko usiądą na jego skórze, aby pożywić się słonym potem, od tych, które użądła, aby sięgnąć pod skórę po jego krew. Tych drugich było tym razem niewiele.

Wkrótce ich oczom ukazał się wodospad. Każde wyjście poza obręb Twierdzy oznaczało ryzyko, ale niskobiałkowa dieta już mocno dawała im się we znaki. Cade'owi na widok fig skręcał się żołądek, a próby schwytania gryzoni nawiedzających sady porastające szczyt góry zakończyły się całkowitym niepowodzeniem.

Te same gryzonie sprawiły, że odżywiali się w monotony sposób, pożarły bowiem większość warzyw uprawianych przez Rzymian. Tego, co zostało, trzeba było niestety się wyrzec – wsadzili je do ziemi na ogrodzonych poletkach z myślą o przyszłym sezonie. Cade'owi nie mieściło się w głowie, że osiem osób w tak krótkim czasie może pochłonąć aż tak wiele żywności. Wiele, jednak były to niemal wyłącznie owoce, owoce i jeszcze raz owoce.

Qiuntus uniósł kciuk i odezwał się:

– Udana wyprawa.

Cade uśmiechnął się i skinął głową. Legionista szybko uczył się angielskiego i czynił coraz większe postępy, a Cade zdążył już przywyknąć do jego rytmicznej intonacji.

Również Cade przypominał sobie łacinę, wydobywając z zakamarków pamięci zapomniane słówka. Uczyli się jej zresztą wszyscy zawodnicy, a Amber i inne dziewczyny miały już lekcje łaciny w szkole.

Przez te trzy miesiące, które upłynęły od bitwy, nie mieli wiele do roboty. Trzy miesiące zerkania na zegar i oczekiwania, aż Kodeks się odezwie. Na próżno go wypytywali, próbowali podpuszczać lub nawet grozić. Nic nie zdołało go zmusić,

by przerwał milczenie. Był niczym wielki odważnik wiszący nad ich głowami. Tylko zegar bezlitośnie odmierzał czas.

Ogarnięci poczuciem ulgi, że udało im się bezpiecznie wrócić, wbiegli obaj mrocznym tunelem do wnętrza Twierdzy. Rybna potrawka, na którą można było liczyć tego wieczoru, zaliczała się do tych niewielu rzeczy, które mogły wywołać uczucie zbliżone do radości. Yoshi okazał się wybornym kucharzem, chociaż z powodu skromnego wyboru dostępnych składników nie mógł w pełni się popisać.

– I jak tam? – spytała Amber, gdy wyłonili się z tunelu.

– Jakoś – odpowiedział Cade i wzruszył ramionami.

Amber była sama. Siedziała po turecku na kamieniach. Podsycała ich małe, wspólne ognisko. Cade znowu pomyślał, jak dziwnie wygląda ta dziewczyna, wciąż mając na sobie szkolny mundurek.

– Hej! – zawołała Amber. – Wrócili.

Cade odstawił koszyk i powitał uśmiechem pozostałych, którzy przybyli z wnętrza Twierdzy, zwabieni wydarzeniem, jakim było wyrrywające ich z codziennego letargu pojawienie się rybaków.

– Dasz radę coś z tego zrobić? – spytał Cade Yoshiego, ale widział, jak przyjaciel zaciera dłonie na widok zawartości wiklinowego kosza.

– Człowieku – mruknął Yoshi. – Nie pytaj, tylko dawaj.

Nie czekając na odpowiedź, chłopak podniósł każdą z ryb. Skrzywił się nieco, widząc, że dwie składają się głównie z ości i resztek skóry.

Grace też potrząsnęła głową, ale dotknęła dłonią ramienia Yoshiego.

– Zawsze można z tego ugotować zupę – stwierdziła. – Moja mama robi taką, że z kapci byście wyskoczyli. – Zmarszczyła nos. – Tylko szkoda, że nie mamy chilli.

Yoshi mruknął coś nieokreślonego, natomiast Scott machnął ręką.

– Ja tam bym zeżarł hot doga sprzed tygodnia, choćby nawet leżał przez ten tydzień w gaciach zapaśnika... Cokolwiek, byle nie te figi – powiedział. – Przyrządź je, jak chcesz, tylko trochę zostaw dla mnie.

– Fuj – skrytykowała go Bea, a Trix również spiorunowała chłopaka wzrokiem.

Bliźniaczki były chorobliwie blade i to wcale nie z wrażeń, które wywarł na nich żarcik Scotta. W ciągu tych trzech miesięcy bardzo schudły, a od samego początku były raczej szczupłe. Było to kolejne zmartwienie Cade'a, chociaż żadna z nich się nie uskarżała.

Jedyną pociechą był fakt, że zawodnikom dano czas na wyleczenie ran. Może nawet dano im go zbyt wiele. Cade spoglądał na światło wydobywające się z okien górnego piętra Twierdzy, gdzie po pamiętnej rozmowie z Abaddonem umiejscowił się Kodeks ze swoim świetlistym zegarem.

Czasomierz odliczał cztery miesiące. Został już tylko ponad miesiąc, przypominało to więc tykanie bezlitosnej bomby. Dano im o wiele, wiele więcej czasu niż przed rundą kwalifikacyjną.

Ten dodatkowy czas spędzał sen z powiek Cade'a i budził niepokój u wszystkich. Tak jakby mieli się do czegoś przygotować. Tak jakby miało im to wynagrodzić fakt, że zostało ich tak mało. Z tego cztery dziewczyny w szkolnych mundurkach, trzech młodocianych przestępców, no i Qiuntus.

Dzięki niebiosom za Qiuntusa. Tylko on wiedział, jak uprawiać warzywa i w jaki sposób chronić je przed szkodnikami. A także jak zmielić, czy raczej utłuc w misie ziarna pszenicy, żeby można z nich było upiec mączne placki. Udało mu się

nawet za pomocą procy strącić pterozaura, chociaż teraz już te stwory nauczyły się trzymać z daleka.

Tymczasem nadal trwali w piekle wyczekiwania. Nie wiedzieli, na co czekają. Tyle że będzie to coś okrutnego i krwawego, o nieobliczalnych konsekwencjach.

Takie myśli towarzyszyły Cade'owi stale, ale teraz, kiedy przyglądał się swoim towarzyszom zgromadzonym wokół ognia, powróciły ze zdwojoną siłą. Znał ich dobrze. Nie byli mu obojętni. Te trzy miesiące sprawiły, że nie byli już przypadkową grupką, że łączył ich nie tylko wspólny los i przypadek.

Teraz Cade wiedział, że Scott wylądował w więzieniu, bo „pożyczył sobie” samochód i szalał nim po mieście, ale był to rozpaczliwy krzyk po śmierci matki. Wiedział, że Grace co noc modli się do maleńkiego krucyfiksu, który zawsze ma na szyi. Dowiedział się, że Bea i Trix nigdy wcześniej nie spędziły nawet jednej nocy z dala od swoich rodziców. Że Yoshiemu najbardziej w Twierdzy brakowało muzyki, Amber zaś szczególnie tęskniła za czekoladą.

Czując narastającą frustrację, Cade wstał i stopy w zasadzie same poniosły go schodami na pierwsze piętro Twierdzy. Nie potrafiłby zapomnieć ściekającej po nich krwi i bezwładnych ciał, które tu zaległy. Od tamtych chwil nie mógł już myśleć o tym miejscu jako o bezpiecznym schronieniu – tyle że budowla zapewniała osłonę od wiatru i deszczu.

Szedł dalej przez puste sale aż do okrągłego stołu na samym szczycie. Tam, gdzie jaśniał blask zegara zasilanego przez Kodeks. Stał z zaciśniętymi pięściami, a liczby migotały i zmieniały się.

36:22:58:26

36:22:58:25

36:22:58:24

– To cię bawi? – odezwał się Cade. – Obserwujesz, jak usiłujemy tu przetrwać?

Jego głos zabrzmiał dziwnie w pustym pomieszczeniu. Jakby mówił do siebie.

– Ale z ciebie master tej gry – mówił dalej, starając się włożyć w te słowa tyle pogardy, ile tylko zdołał. – Na pewno ci stanie, kiedy będziesz patrzył na kolejną rzeź. Upłyną te cztery miesiące i znowu będzie jatka. Ale wy macie rozrywki, ty i ten twój tak zwany Panteon.

Soczewka Kodeksu spoglądała na niego, bezgłośnie i pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Cade ciągnął:

– Na pewno oni też się podjarają widokiem ośmiorga wygłodzonych dzieciaków, które im złożysz w ofierze.

Teraz unoszący się w powietrzu dron wydał jakiś odgłos, tak nieznaczny, że prawie niesłyszalny. Drgnął jakiś trybik. Zaiskrzył obwód. Coś się zadziało.

– Przykro pomyśleć o tych śmieciach, które pozostały w dżungli. Tak pieczołowicie je zbierałeś, wyselekcjonowane najlepsze okazy z całej historii ludzkości. I wszystko na nic. Będzie tu rdzewieć i gnić i już nikomu się nie przyda. Bo przecież jesteśmy ostatni, no nie? Nikt już nigdy tego nie użyje.

Nic. Podjął jeszcze jedną próbę:

– A więc to jest łabędzia pieśń Abaddona dla Ziemi. Nie z hukiem, a ze skomleniem. Osiem wynędzniałych owieczek przeznaczonych na rzeź. Naprawdę nic mądrzejszego nie potrafiłeś wykombinować?

Milczenie.

Cade nie chciał pokazać po sobie, jaki jest wzburzony. Odwrócił się z myślą, że zamiast się złościć, lepiej będzie skupić uwagę na potrawce z ryby.

A potem... głos:

– Niech ci się nie zdaje, że zdołasz przeniknąć moje plany, głupi pisklaku.

Cade wstrzymał oddech, coś ścisnęło go w żołądku. Odwrócił się powoli i drgnął, bo Kodeks znajdował się teraz naprzeciw jego twarzy. Pokój, w którym dotąd było jasno od blasku zegara, pograżył się w ciemnościach.

– O co ci chodzi? Czy nie tego pragnąłeś? – odezwał się głos. – Czy nie chciałeś zwrócić mojej uwagi? Czasem warto uważać, czego sobie życzysz, chłopcze.

Ten głos był głębszy, bardziej ochrypły, bezwzględny. Nie dziewczęcy jak ostatnio. Tyle że wtedy Abaddon przybrał taki wygląd, bo chciał, żeby Cade czuł się swobodnie. Teraz nie było takiej potrzeby.

– Zawołaj resztę! – rozkazał Abaddon. – Czas zacząć zabawę.